Ner 4. 1860. 22 Października.

NIEWIASTA.

Niewiadomość.

Czy słowo: *Niewiasta* od niewiadomości pochodzi? Od niewiedzenia obowiązków przeznaczenia swego? Łatwo ta myśl nawija się, gdy zważymy, iż całe wychowanie dziewczęcia w tak zwanem wyższem towarzystwie właśnie na tem zasadza się, aby ją w zupełnej niewiadomości świata, stosunków jego, i ztąd wynikających dlań obowiązków utrzymać.

Niewiadomość—to niewinność. A niewinność—to niewiadomość. Czyli to prawda? Obszerniejby o tem pisać wypadało, jak niewłaściwie jedno słowo za drugie przysłuża, i jak mylne nieraz ztąd wynikają wnioski i zasady. Te niewiasty, które słusznie się żalą na niedokładność przyjętych u nas zasad w wychowaniu dziewicy, właśnie w tem przemienianiu wyrazów znajdą przyczynę niedokładności, o której mowa.

Świat grzeszny, świat upadły, świat zdradliwy, świat przewrotny i obłudny, zakryty jest od oczu dziewicy. Nie dano jej wiedzieć o niczem. Nawet wtenczas, gdy jej mówią o upadku rodu ludzkiego w skutek grzechu pierworodnego, nie chcą lub nie umieją rostropnego do obecnych stosunków świata, w których i jej przyszłość zawartą, zrobić zastósowania. Czyż przepaść między religią a życiem społecznem nigdy się nie wypełni, nigdy nie wyrówna?

Za to otwierają przed jej oczyma świat sztuczny, wykwintny, estetycznie zidealizowany, świat uludny, układny, pełen zabaw i rozkoszy. Jednem słowem, *salon* ma jej zastąpić powszednią rzeczywistość tego świata.

Matka o to stara się, aby córka niepoznawała więcej ludzi tego świata, jak tylko w salonowem przeobrażeniu, i aby w tem uludnem zidealizowaniu o swej przyszłości marzyła.

Widząc te strojne dzieweczki w salonie, w ich niewinnej niewiadomości, przypomina się na chwilę Ewa w raju w stanie pierwotnej bezgrzeszności. Ale wnet nęka się umysł nasuwającą się raczej na myśl powiastką, o tym księciu indyjskim, którego ojciec jego tak kazał wychować, aby mu wszelkie rzeczywistej nędzy ludzkiej uniemożebnić wyobrażenia. A który potem, gdy go nieszczęście dotknęło, w trójnasób był nieszczęśliwym. Ktożby zdobył dla was, tak piękne, tak wzniośle wykształcone dziewice, wy królowe salonów! tyle koron i tronów, ile potrzeba jest dla waszego uszczęśliwienia! aby was tak godnie umieścić w świecie, jak na to waszem szczytnem zasługujecie wychowaniem, i czułem rodzicielskiem wypielęgnowaniem! Bo do tego raczej wydajecie się uzdatnione, jak do powszednich obowiązków, które was czekają, a o których większa część z was żadnego prawie niema wyobrażenia! Ja dla was wszystkich jednę tylko mam koronę, koronę Maryi, a którą po ciernistej drodze życia wielką ofiarą, wielkiem cierpieniem i poświęceniem, wielkim trudem i pracą zdobywać trzeba!

W takiej nieznajomości rzeczywistego świata, była wychowana i pani Malwina. Grała wybornie, tańczyła przecudnie, mówiła po francuzku najczystszym paryskim akcentem, bo matka jej nieszczędziła na to kosztów i trudów, i za najistotniejszy swój obowiązek to poczytała, aby najmniejsza dysharmonia nie mogła razić ucha jakiego salonowca bruków paryskich. Przytem serce jej było czyste, poczciwe i szczerze, pragnęła uszczęśliwić sobą męża wyboru swojego. Była trochę próżną, bo czuła swe zalety i widziala, że należą się jej te pochwały, które odbierała. Mama stroiła ją nader wytwornie i mawiała, że przecież stać ją na to, i Malwisia mieć będzie odpowiedni majątek. A gdy miały jechać na bal, a Malwina w całej okazałości swych przyborów stanęła przed matką, matka rozradowana nadobnością swej córy, ze łzą w oku czule ją ucałowała, i tryumfalnie zawołała:

Teraz kołem, kołem,
Bijcie chłopcy czołem!

Poszła za mąż za pana Bronisława, który posiadał dość salonowości i taktu w towarzystwie, aby mógł zająć sobą Malwinę. Minęły czasy powszechnego zwracania na siebie uwagi, przeszedł dzień tryumfu, ślubu i wesela, ślubna suknia została schowaną, a z nią schowane były na dno duszy ponętne wspomnienia niepowrotnych czasów dziewiczego uroku życia. Trzeba było z mężem jechać na wieś jego, i wziąść się do pracy. Z prawdziwym żalem żegnała się z rodzicami. Matka, śród tysiącznych błogosławieństw, nie śmiała i wtenczas jeszcze być tak otwartą dla córki, jakby należało, i powiedzieć jej całą prawdę, słowy, jakiemi Bóg do Ewy przemówił w raju, gdy ją wraz z Adamem na ten padoł płaczu wydalał.

Malwina ukochała męża z serca i z obowiązku. Mąż jej poczciwy zasługiwał na to. Ale mimo tego czuła jakąś próżnię, jakiś niedostatek w swej duszy, który sama przed sobą utaić pragnęła. Czy tęsknota za salonem? Wieś nie salon, tu w ustroniu nikt ją nie uwielbia, tu nie zwraca oczu znawców na siebie. Będzie śpiewać a nikt jej nieprzyklaśnie, będzie grać, a któż pochwali? Czuje, iż zestąpiła w niziny parafiańszczyzny, jakieś nudy zaczynają się obudzać, i niepohamowana chęć jechać w świat, na wojaż, do wód, na salony.

A mąż czuły, dobry, serdeczny, lecz wcale już nie ten sam, co był tam w salonie. Jakaś rubaszność, której pierwej niedostrzegała, zaczyna drażnić jej nerwy. Zamiast naprzykład zachwycać się jej śpiewem, wypada wsród niego na dziedziniec, krzyczy na parobków i powraca z miną skwaszoną. Nowe pokusy obudzają się w jej duszy. On mię już nie tak kocha, nie tak ceni, jak przedtem. Zaczyna dręczyć się, niedowierzać sobie, niedowierzać mężowi. Niepokoi się nawet wśród modlitwy, a nie wie, iż całą chorobą jej duszy jest dotychczesna jej niepraktyczność.

Tak przychodzą z pewną natarczywością chwile rozczarowania. A z niemi śród tysiącznych drobnych zgryzot, usterków i niepowodzeń, rozwija się widzenie i pojmowanie rzeczywistych stosunków świata, i wynika-

jących ztąd obowiązków. O nie jedną! goryczą duszy opłacić trzeba swą niewiadomość, i niejako pokutnie zadosyć uczynić prawdzie i sprawiedliwości Bożej, za kłam i urojenie w upłynionem życiu.

Natenczas rzekła pani Malwina do matki: Widzę mamo, że nie małych zmian trzeba w wychowaniu córek, bo tegoczesne prowadzenie nie grzeszy praktycznością. Owszem, rzecze matka, nasze prababki lepiej to pojmowały—i wychowywały swe córki, jak niesie przysłowie, by umiały chwycić za zimne i za gorące. Ale cóż, to przestarzała moda! dziś tak trzeba wychowywać dziewczęta, *jak w świecie przyjęto.*

X. W. Serwatowski.

PRZYWYCZKI.

Komedya w 4 aktach.

Przyjacielowi

JÓZEFOWI SZUJSKIEMU

poświęca

AUTOR

tę pracę.

Miłością miłość pochwalić się godzi,
Bo jej kształt każdy wprost z niebios pochodzi.

Göthe.

OSOBY:

Pyszalski, majętny właściciel dóbr.
Żona jego.
Pawlina córka.
Anna siostrzenica.
Adam Chrobrzyński, doktór medycyny.
Michał Tarabański.
Jaś Przyzwoliński
Hr. Prosper Obojętnicki, podstarzały kawaler.
Lokaj.
Rózia pokojowa.

(Rzecz dzieje się na wsi.)

AKT I.

Scena I.

(W domu Pyszalskich. — Salonik mały, bogato ale bez gustu ozdobiony. — Adam siedzi rozparty w fotelu, trochę zdrzemany.)

Adam. Dalibóg siedzę tu już tydzień a odjeżdżać mi się nie chce. Nie ma co mówić: domeczek przyjemny, starzy wprawdzie porządnie śmieszni, podobni do Donkiszotów goniących za jakąś fix ideą — ale co mi to szkodzi, wszak to ludzka przywara! — a potem Pawlina! *(zamyślając się.)* E, dalibóg, kiedy pomyślę że mogłaby być żoną moją, to mnie i strach i przyjemność bierze. *(Lokaj wchodzi.)*

Lokaj. Proszę pana — Jasny pan prosi pana na czytanie czegoś bardzo ważnego.

Adam. Masz go. — Powiedz, że zaraz przyjdę. *(Lokaj odchodzi.)* To satysfakcya — jeszcze świt, już mi stary tłumaczyć chce zapewne uczucia swe w paralelli z Bajronowskiemi, — albo może co gorszego. *(Pokojowa wchodzi.)*

Pokojowa. Proszę pana—Jasna pani prosi pana o jakiś tam w złoto oprawny herbarz.

Adam. Masz tam. — Zaraz sam przyniosę. *(Pokojowa odchodzi).*

Chce się doczytać czynów sławnych familij, o których na złość herbarz ledwie bąknął. — No, — trzeba zadowolić obie strony! *(wstając)* przyznam się, że papa i mama oczasem mi już dogryzają swojemi cudactwy — lecz zato Pawlincia!

(Pokojowa wchodzi.) Proszę pana, Jasna panienka prosi o modlitwę dziewicy, i żeby pan przyszedł śpiewać.

Adam. Natychmiast idę. *(Pokojowa odchodzi.)* No, tu rzeczywiście najprzód pójdę. — Modlitwa dziewicy! — Mój Boże ciekawem, o coby Pawlina szczerze modlić się mogła, bo to takie żywe *(z westchnieniem)* i takie trochę rozrzucone, *(zastanawia się — wchodzi Pyszalski — otyły, jaskrawo ubrany, sapiąc, powoli.)*

Scena II.

Pyszalski. No proszę? i ty panie jeszcze prawie spisz, a ja ci chciałem przeczytać śliczną broszurkę o ideach — wystaw ty sobie, moje myśli, żywcem je autor posłyszyć musiał gdzieś w jakiejś mojej gawędce i wydrukował, jak cię kocham.

Adam *(z uśmiechem)* A któż autor?

Pyszalski. Jakieś tam francuzisko.

Adam. To wątpię, żeby pana dobrodzieja mógł słyszyć; tylko, że myśli wielkie różnych ludzi często się spotykają.

Pyszalski. No proszę? — a masz racyą — i ja tak myślę, bo co ty myślisz o mnie naprzykład?

Adam. Hm, — trudno w oczy powiedzieć.

Pyszalski. No proszę? — a wiesz mówiłem ci o mojej broszurze; „prąd dziejowy“ — co za śliczne myśli powiadam ci, to nie chciałem wierzyć, że ja to napisałem, jak cię kocham.

Adam *(z ironią.)* E, dlaczegóżby nie — ja wierzyłbym wszystkiemu na ślepo.

Pyszalski. No proszę? — ah powiadam ci ten Bajron, to się go dość naczytać nie można, co za geniusz! *(rozsiada się w fotelu.)*

Adam *(na stronie.)* Siada w najlepsze, a mnie się spieszy.

Pyszalski. Wiesz ty panie Adamie, że wiek się wysilił na niego — potrzeba tysiąca lat znów na drugiego. — Bojron i Napoleon!

Adam *(nie wiedząc co mówi.)* O . . . zapewne . . .

Pyszalski. A wiesz ty panie Adamie — dziś w nocy miałem okropne widzenie, rodzaj wizyi, fatamorgany, coś *á la* jasnowidząca z Prevost.

Adam. Może się przejdziemy do ogrodu.

Pyszalski. Nie, owszem tu nam dobrze. Powiadam ci okropny sen: najprzód śnił mi się lew, godło Anglii, trzymał w pazurach kawał mięsa, z którego się sączyły wielkie krople krwi . . . a tobie się nie śniło nic?

Adam. Nic a nic.

Pyszalski. Koło lwa stała wielka lektyka złocona . . . ale wiesz ty panie Adamie jakiegom wczoraj, po przeczytaniu szekspirowskiego Lira, dostał ataku nerwowego?

Adam. Nic nie wiem — może wyjdziemy bo strasznie duszno . . .

Pyszalski. To i tego nie wiesz; no proszę! — a to tak się dziwnie i nagle zrobiło, jak cię kocham. Siedzę sobie jak zwykle po obiedzie, gdy umysł mój zaczyna natężać wszystkie fibry tkanki mózgowej, słowem gdy zaczyna wrażenia duszy łączyć z wrażeniami rozumu i tworzyć jakby jakie wielkie poema bohatyrskie, w tem . . .

(Pokojowa wchodzi.) Panienka się gniewa, że pan nie przychodzi.

Adam. Już idę — przepraszam pana dobrodzieja *(wychodzi.)*

Pyszalski. Ależ poczekaj — poszedł, no proszę? a taki się porządny człowiek wydawał, ale co to — to wszystko gmin! on niby trochę ma więcej oleju, ale zawsze strasznie prozaiczny, jak cię kocham. Co to, żeby on tyle przeczytał co ja! *(wstając bierze się za czoło)* toby pewnie ogłupiał. A ja! *(uśmiechając się)* — no, no, wiedzą ludzie! *(wychodzi uśmiechnięty.)*

Scena III.

(Pawlina wchodzi prędko, za nią Adam.)

Pawlina. Kiedy tak, to ja nawet nie chcę żeby pan śpiewał.

Adam *(obojętnie.)* Bardzo dobrze — więc nie będę.

Pawlina *(tupiąc nogą.)* Ja pana niecierpię.

Adam. Bardzo mi smutno — jednak się nie zastrzelę.

Pawlina. O bo pan zimny jak ten marmur, który pod gołem niebem na wszystkie wiatry wystawiony!

Adam. Więcby pani chciała, abym dla pokazania gorącej krwi, zastrzelił się?

Pawlina. A choćby i tak — toby przynajmniej był piękny czyn.

Adam. Piękny? Pani mówi na seryo? Dziwię się pani zdaniom, ale ich dzielić nie myślę.

Pawlina. Znam pana tyle czasy, a uniosłżeś się pan kiedy ogniem świętym uczucia — zawrzałeś iskrą wewnętrzną, coby ci poświęcenie wypisała na czole?

Adam *(ironicznie.)* Poświęcenie? ho, ho, co za wielkie słowo w ustach panny Pawliny! *(po chwili)* Pani dziś jakąś heroiczną książkę czytała?

Pawlina *(gniewnie.)* Bynajmniej. *(Bierze książkę ze stolika i na pół się odwraca.)*

Adam. Pani dzisiaj głęboko usposobiona, a ja niestety przeciwnie, nieprawdaż?

Pawlina *(siada nie patrząc na niego.)* Nie wiem.

Adam. O-o, pani się nawet gniewa, czy tak?

Pawlina. Tak.

Adam. O cóż, jeżeli można wiedzieć?

Pawlina. Nie wolno.

Adam *(kłaniając się.)* A to przepraszam, *(idzie na drugą stronę sceny, siada i bierze książkę.)*

Adam *(na stronie.)* Jakieś muchy znowu — nie jest to bez kozery.

Pawlina *(na stronie.)* Muszę go raz upokorzyć. *(Adam głośno chrząka.)*

Pawlina *(na stronie.)* On się tu pewnie odezwie.

Adam *(na stronie.)* Ciekawem, kto kogo przetrzyma.

Pawlina *(na stronie.)* Ciągle milczy. *(Adam wstaje i przechodzi się po pokoju, potem siada i udaje zatopionego w czytaniu.)*

Pawlina *(na stronie.)* Ciekawam długo tego będzie, *(chrząka.)* *(Głośno)* Pan bardzo dziś zaczytany.

Adam. Śliczne dziełko, z uczuciem pisane.

Pawlina. To nie przerywam.

(Adam półgłosem deklamuje wiersze, Pawlina okazuje niecierpliwość.)

Pawlina. Widzę, poezya dziś zaprzątnęła panu głowę.

Adam. I serce, i serce panno Pawlino, *(dalej czyta półgłosem.)*

Pawlina *(niecierpliwie.)* Ależ to nudnie.

Adam *(przybiegając.)* Co, co takiego?

Pawlina *(gniewnie.)* Nic.

Adam *(odchodząc.)* Przepraszam — ah! co za piękne wiersze . . .

Scena IV.

(Pyszalska wchodzi z otworzonym herbarzem w ręku i czyta:)

„Przodkowie familii tej jeszcze za pogan różne skrypta znacznie okazują wielkimi ludźmi w tem to królestwie, których potwierdzając królowie, mianują je *„magni comites.“*

Mój Boże — a dzisiaj te historyczne imiona własnoręcznie pracować muszą, *magnicomites.* Oh! *(spostrzega siedzących.)* A państwo cóż tak milczący?

Adam. Czytamy łaskawa pani z wielkiem zajęciem.

Pyszalska. Cóż takiego? może jakie poezye. Mój Boże, czemu to dzisiaj nie czytają wszyscy herbarzy, tej księgi sławnych czynów pojedynczych familij — zatopić się w takiej lekturze, to ożywia, zapala, pobudza zwłaszcza jeżeli się jest tych czynów sukcessorem.

Adam. Tak pani — ale zbytnie zatopienie się w tej lekturze często pobudza tylko do czczej próżności, nie opartej na podobnych dawnym, szlachetnych czynach.

Pyszalska. Mylisz się pan, mnie się zdaje, że każdy co nosi takie historyczne imie, czuje całą świętość swego powołania.

Adam. Czuje pani dobrodziejko — ale nie wykonywa.

Pyszalska. Bo gdzież dziś pole do czynów! — nie mamy już owych dygnitaryj, splendorów, które cześć i potęgę nadawały *(z przymileniem się)* czytaj pan, naprzykład familya Pyszalskich . . .

Adam *(bierze książkę, wzdychając kartki przewraca.)*

Pyszalska. A co?

Adam. *(udając zachwyconego)* Ho, ho, jacyż to ludzie byli! *(udając zdziwienie)* I państwo w prostej linii od tych.

Pyszalska *(z godnością)* W prościuteńkiej — nieprawdaż ile tam kasztelanij, ile starostw! — bądź pan łaskaw głośno czytać, Palwinciu posłuchaj.

Pawlina *(z dąsem.)* Ależ mamo *laissez — moi*, przecież już słyszałam jakie tysiąc razy.

Pyszalska *(surowo.)* Moje dziecko, nigdy dość takich rzeczy nasłuchać się nie można — panie Adamie bądź pan łaskaw proszę . .

Adam. Najchętniej. *(na stronie)* Myśli kobiecina że nieznam bajki o farbowanych lisach. *(głośno, nagle.)* Czy państwo mają genealogiczne drzewo?

Pyszalska *(zmięszana)* Tak . . . nie . . . to jest widzi pan w czasie pożaru pałacu naszego przed dziewięcioma laty spaliły się bardzo kosztowne papiery, między innemi i drzewo . . .

Adam. *(na stronie)* Z pod płotu, *(głośno)* Co za wielka szkoda, a to . . .

(Otwierają się drzwi, wchodzi Pyszalski z Jasiem Przywolińskim.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ANNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA POLSKA.

(Z wiadomościami o całej familii Zygmunta Starego.)

(Dalszy ciąg.)

Królewna wysłuchawszy poselstwa odpowiedziała żałobnemi słowy, że „jest tak opuszczona i zapamiętana od jmci panów rad, że dotąd żadnego nawidzenia od Imciów nie miała. Miałam pradziada, dziada, ojca, brata, stryje królmi polskiemi — a ja, natenczas na swe żałości i niedostatki patrząc, zwątpiłam o wszystkiem. A jeszcze mi ichmość rozkazują, abym i tych poselstw niesłuchała, z których wzdy jakąkolwiek pociechę miałam w sieroctwie mojem . .

Tak powiedziawszy pokazała Anna wszystkie listy, które z kondolencyą po śmierci brata do niej przysłano.

Posłowie wymawiali się rozkazem arcybiskupa i zapewniali królewnę o opiece panów rad nad pozostałą, z szczepu panów swoich.

Z płaczem uczyniła wyrzut królewna, że tej opieki dotąd mało doznawała. „Zarzucono mnie, mówi Anna, szkapami ślepemi, chromemi — dobytkiem króla nieboszczyka podzielili się sami panowie. . .“

Posły zjazdu domagali się stanowczo usunięcia Castalda. Jakoż zgodziła się na to królewna. W liście dnia 10 października do zjazdu osieckiego pisanym, wyraża się: „Rozumiemy, iż nam słuszna nic bez wiadomości rad w. panów Rad koronnych a stróżów rzplitej i naszego dostojeństwa nieczynić, byśmy też co dobrze rzplitej z życzliwości naszej pożyteczne być widzieli, nie chcąc

czego Boże uchowaj, w co takowego się wdawać, za czemby rzplitej ku niebezpieczeństwu przyjść miało — choćby osoby naszej zacność mniej uważaną być miała.“

Pomimo tych szczerych i prostodusznych zapewnień, pomimo oddalenia Castalda niepozwoliły rady koronne królewnie w Warszawie zamieszkać. Karnkowski biskup kujawski i Jan Sierakowski wojewoda łęczycki odprowadzili ją na mieszkanie do Piaseczny, gdzie przebyła czas elekcyi.

Nie wiem, zkąd Moraczewski dowiedział się, że królewna „biła w swoje prawo do dziedzictwa Litwy.“ — Postępowanie królewny świadczy o zupełnym braku wszelkiej żądzy panowania, o niezdatności chwalebnej do intryg i fortelów dyplomatycznych. Jakoż nie słychać więcej aby zagraniczne dwory o jej łaskę ubiegać się miały. Nie czyni tego ani francuzki poseł, zgrabny i przebiegły Montluc, ani austryacki Rosenberg, ani legat papiezki Commendoni forytujący katolicki dom Habsburgów na tron polski. Z tym ostatnim była nawet królewna w nieprzyjaznych stosunkach, jak to widać z listów Hozyusza kardynała. Przyczyny niepodobna się dowiedzieć: może się Commendoniemu nie udało pozyskać w niej wbrew woli rzeczypospolitej usłużne ślepe narzędzie. Może królewnie samej nie podobał się przebiegły ksiądz dyplomata, który poklaskiwał rzezi świętego Bartłomieja i waśnił panów polskich dla dobra kościoła, królewnie, która w duszy swojej miała tak czyste i swięte poczucie prawdziwej religii.

Na trzy króle r. 1573 zjechał się sejm konwokacyjny do Warszawy. Wytoczona sprawa haniebnego okradzenia Zygmunta Augusta, w samym początku, umorzoną została usilną prośbą Anny.

Był to piękny dowód szlachetnej duszy królewny, dowód, który musiał zrumienić wstydem tych, co z małoduszną bojaźnią patrzyli na ostatnią Jagiellonkę. I dla tego nie mało poruszył zgromadzone stany list odczytany publicznie, list od Zofii księżnej brunświckiej, która z wyrzutem wspomina nieprzystojne obchodzenie się z siostrą. List ten, jedyna pamiątka po nieznanej zresztą księżnie, zachowany całkowicie w kronice Bielskiego, pozwala nam głęboko wglądać w pełny miłości familijny stosunek sióstr i zapoznaje nas z szlachetnem ich usposobieniem.

Na wieść o sieroctwie Anny, o przykrościach, które ją spotkały, słabowita Zofia Jagiellonka zapowiada swój przyjazd do kraju rodzinnego i prosi, aby stósownie do godnego jej przyjęcia poczyniono przygotowania:

„Niezawadzimy my dwie nic sprawom waszym i owszem, będziecieli onej łaskawą życzliwość swą pokazywać i nam wszem przy niej, owa to pozna korona, że tego litować (żałować) nigdy nie będzie; gdyż to się pokazać może, jakośmy podług największej możności naszej przygadzali się potrzebom koronnym. Bo przed Panem Bogiem to powiadamy, którego oczy przenikają serca ludzkie, iż wiarą i życzliwością ku tej koronie: ojczyznie najmilszej nikomu nie damy naprzód, przy której i zdrowie położyć nie strachamy się. Tu już nas każdy niech wie, jako rozumieć ma; ani żadnych przyczyn nie znajduję na tę cną dziewkę a ubogą i opuściałą sierotę, za którą prosimy będąc dobrej nadzieje i ufności w was, abyście jej nie opuszczali.“

Musiało żywiej bić serce biednej Annie na tę wieść o przybyciu przywiązanej i poczciwej siostry. Ale i tej pociechy poskąpił jej Pan Bóg a natomiast ciężką obłók żałobą. Zofia rozchorowała się w podróży i umarła niedojechawszy do granic ojczystej ziemi.

Sejm konwokacyjny ustanowił porządek i bezpieczeństwo elekcyi. Dyssydenci, wichrzący na nim, sprzeciwiali się długo uznaniu władzy prymasa w bezkrólewiu i przeprowadzili w tak zwanej konfederacyi warszawskiej zbawienny spokój religijny na wieczne czasy, t. j. ustanowili, aby król obrać się mający, wszystkim sektom sandomierskiego zboru (1570 odbytego) wolność wyznania i sumienia zabezpieczył. Jan Zamojski poseł bełski, człowiek młody, uczony, wolnomyślny na tymże sejmie zapewnił wymową swoją prawo obioru każdemu szlachcicowi polskiemu i położył przez to fundament gminowładztwa szlacheckiego, panującego do końca rzptej.

Był to czas, w którym poczucie swobody i wolności najpotężniej rozpierało pierś narodu, ogarniało politykę i religią zarazem. Baczniejsi i mniej powszechnym rwani prądem, niezawodnie obawiali się niemało tej gorączki wolności, która się każdej chwili w swawolę mogła obrócić. Obawiali się zamieszania religijnego, które wstrząsało dawnym obyczajem i prostotą patryarchalną a służyło przedewszystkiem rozwojowi nieograniczonej udzielności narodu szlacheckiego. Toż samo myślała zapewne i nasza Anna, która, ile możności, hamowała około siebie pochód gwałtownej nauki nowej i z dawnowieczną pobożnością trzymała się papieża i katolicyzmu. Widać to z jej listów do kardynała Hozyusza w Rzymie, widać z przyjaźni dla Krzysztofa Radziwiłła Sierotki, który wyrzekł się błędów swego ojca Mikołaja Czarnego, widać z usilnych starań, aby Katarzynę Jagiellonkę, córkę katolickiego króla, od gorszącej Polaków herezyi szwedzkiego dworu ochronić. Szczupłość źródeł nie dozwala nam wprawdzie bliżej wglądnąć w działalność Anny: te jednak, które mamy, przekonywają nas, że podzielała politykę katolicką Jagiellonów, że jej prawowierność niewieścia szła nawet dalej niż toleranckie zdania ojca i brata. Przekonywują nas, że Anna myślała szczerze i głęboko o rzeczypospolitej, że posiadała k'temu rozum, stawiając się obok tych płci niewieściej osób, które po za granicę domu, umieją patrzyć w sprawy krajowe.

Jakoż zwycięztwo katolicyzmu widocznem było już podczas samej elekcyi Henryka. Zgrabny Commendoni umiał między dyssydentów rzucić nasienie niezgody, pokłócić Zborowskich z Firlejem, a Andrzeja nawet do katolicyzmu pociągnąć. Chwiejący się dawniej w wierze prymas Uchański nabrał „siły ś. Stanisława i gotów był umrzeć za kościół.“ Olbrycht Laski, Chodkiewicze i Radziwiłły wrócili na łono kościoła. Hozyusz, przyjaciel królewny cuda robił przez sprowadzonych roku 1556 Jezuitów. Firlej widział się wnet opuszczonym i pozostał tylko z kilkoma stronnikami z senatu a silnem w rycerstwie stronnictwem.

Nie tak jednakże szło Commendoniemu z forytowaniem cesarza i syna jego Ernesta. Cesarz powolnem działaniem, pewnością zbytnią, że go Polacy sami na króla prosić będą, popsuł wszystko i potracił licznych w senacie stronników. Zdatny poseł francuzki Montluc w wybornej mowie przedstawił wielkie korzyści obioru Henryka, syna kraju oddalonego, a przychylnego Polakom, człowieka rycerskiemi ozdobionego przymioty. — Szala przeważyła się widocznie na jego stronę. Ale katolicka partya chciała przy obiorze upiec także zwalenie konfederacyi warszawskiej. Chciała cofnąć swobody innowierców. To spowodowało *reces* (ustąpienie) stronnictwa Firlejowego pod Grochów, stronnictwa, które żądało Piasta, albo króla obcego potwierdzającego wolność sumienia. Już miało przyjść do krwi rozlewu, bo najznakomitsi katolicy, Hozyusz, Uchański i Karnkowski biskupi, gotowi byli chwycić się ostateczności, pchani przez Commendoniego; ale zwyciężył patryotyzm, nie-

wczesny i zgubny zapał a dyssydenci przystąpili do elekcyi Henryka, zawarowawszy sobie wolność religijną. Godzien chlubnej pamięci Franciszek Krasiński, podkanclerzy i biskup krakowski, najsilniej się do tego przyczynił.

Litwa, przywiązana szczerze do domu Jagiellońskiego, kładła zamęście Anny pięćdziesięcioletniej z 22letnim Henrykiem pomiędzy pakta konwenta, które miał elekt podpisać. Rażąca nieharmonia wieku skłoniła koroniarzy, że to dobrej woli Henryka pozostawili. Jakoż objawiono księciu życzenia narodu pod tym względem. Młody, próżny, elegancki Henryk nie chciał atoli ani myśleć o tak nieprzyjemnem małżeństwie. Królewna Anna także nie miała do niego pretensyi.

Poselstwo polskie wyprawione po Henryka do Paryża, wjazd jego do Krakowa i koronacya odbyły się z niesłychanym przepychem i wystawnością. Zdaje się, jakoby naród wolności swej, naówczas w Europie prawdziwie fenomenalnej, chciał roztoczyć cały blask swój i uzewnętrznić go okazałością i zbytkiem. — Ale obok tego zewnętrznego przepychu widzimy oraz w tych chwilach pamiętnych wspaniały animusz narodu, jego wysoką oświatę i polor rycerski, który wstydził nawet dwór chrześciańskiego króla. Widzimy wolnomyślność i humanitarność prawdziwą, przy której przykro musieli odbijać pokrwawieni w noc św. Bartłomieja dworacy Karola IX. Widzimy nareszcie tę powagę i wysokie poczucie indywidualnej godności, właściwe ludziom wolnym i bezpośrednio na losy swego kraju wpływającym, które podnosiło Polaków nad szlachtę francuzką i niemiecką, skażoną dworactwem i pochlebstwy.

Ale właśnie ta groza narodowa niepodobała się wypieszczonemu synowi Katarzyny Medycejskiej. Nawykły do płaszczenia się swoich faworytów, lubiący zauszników, pobłażającyeh jego złym nałogom, Henryk niemógł się oswoić z poważnemi czołami senatorów, którzy każdej chwili gotowi mu byli wypalić oracyą o obowiązkach królewskich. Jeno scudzoziemczali Zborowscy przypadli mu do smaku. Infantkę odwiedził Henryk zaraz po przyjeździe swoim do Krakowa i niemało musiał się dziwić Polakom, którzy ją dla niego przeznaczyli. Była to zapewne dziwną w swoim rodzaju wizyta, wyfiokowany i gładki Francuz u poważnej i zakonnej Polki. Jakoż przehulawszy pięć miesięcy na polskim tronie, rozmarniwszy wielkie sumy pieniędzy, tak, że się niedostatek na dwór wciskać począł, Henryk znudzony Polską haniebnie uciekł do Francyi, aby objąć tron po zmarłym bracie.

(*D. c. n.*)

PRZEGLĄD DZIEŁA:

Godziny rozmyślania, czyli rady i przestrogi dla dziewic,

przez Karola de Sainte Foi.

Wyszło to dzieło w tłomaczeniu polskiem J. Z. P. B. w Warszawie nakładem Merzbacha 1860. Ks. Antoni Melchior Fijałkowski, metropolita warszawski, przyjął z pociechą serca pasterskiego wdzięczną pracę pobożnej damy i w nadziei, iż błogie przyniesie pożytki, dnia 10 listopada 1859 r. uznanie ze strony władzy swojej własnoręcznie podpisał. Dzieło składa się z XXII rozdziałów.

Rozdział pierwszy opiewa o w pływie młodości na całe życie i t. d.

Autor jest zdania, że, gdy dziecięctwo nasze nic od nas nie zależy, powinniśmy korzystać jak najwięcej z wieku naszej młodości, który już dozwala, ażebyśmy się nad sobą samymi zastanawiali; chce autor ażebyśmy się w młodości naszej pozbyli wad, któremi nas w dziecięctwie napojono; chce autor, ażebyśmy w młodości naszej przysposobili się do dojźrałego żywota.

Niestety, narzeka autor, jakże dziś coraz rzadszą jest owa dawna czystość i niewinność dziecięca: niejeden pierwej zgrzeszył, nim miał pobudkę do grzechu. Ztąd zawczesna starość, ztąd zaciemnienie i ślepota umysłu, ztąd słabość woli, brak jej hartu i siły.

Lecz autor sądzi, że w dziecięctwie grzech jeszcze się nie zakorzenił, tedy wiek młody może grzechy dziecięce i ich źródła, byleby chciał, łatwo pokonać.

Łatwo młodym drzewom nadać kształt wedle upodobania. Energia i żywość młodego wieku mogą wiele dokazać w kierunku dobrym, za cóż miałyby dokazywać w kierunku złym?

Autor mówi: młoda duszo, której hojna ręka Stwórcy odsłoniła wiosnę życia, ufaj nieograniczenie, mądrze i oględnie używaj zasobów, jakiemi On ci rozrządzać dozwala. Nie zrażaj się choćby smutną przeszłością, śmiałem okiem spoglądaj w przyszłość i na jej niwę rzucaj obfite ziarna, wykwitające z łaski bożej, która nikogo nie mija, co szczerze pracuje: bujne owoce będą ci w starości nagrodą. Pojmijcie ważność młodości dla całego życia, a zapewnicie sobie przyszłość. Nawet popełnione błędy powinny być bodźcem dla słabej i chwiejącej się woli. Nie lękajcie się żadnych niebezpieczeństw, ale pamiętajcie, że wam liczne zagrażają niebezpieczeństwa.

Prawie temi słowy mówi autor, my dalej za nim idąc, w myśl jego rzecz prowadzim: niegdyś skromne niewiasty miały słodki i spokojny żywot, dzisiaj położenie ich jest drażliwszem. Jakkolwiek bądź, świat nie wyrywa jeszcze kobiety z kółka, które jej opatrzność zakreśliła pod względem myśli i czucia, czyli pod względem całego życia, świat dozwala jej trzymać się wod-dali od wrzawy, zamieszek i wzburzeń politycznych. Lecz jakże zachowa niewiasta spokój duszy w pośród wstrząśnień, które szalonym wirem porywają jej ojca, męża, braci i dzieci? Któż dziś umie cenić powab cichego i skromnego życia? Autor mówi, (a należy wiedzieć, że autor nasz jest Fracuzem i ma przed sobą świat francuski), że nawet młoda dziewica, która zaledwie wyszła z lat dziecięcych, żywi w głębi duszy marzenia, płonne i nieokreślone, że pragnie wzruszeń nieznanego jeszcze życia. Do tego skłania ją całe jej otoczenie.

Niewiasty wierne swemu powołaniu umiały przechować i utrzymać w rodzinie święty ogień cnoty, z którego rosły wielkie dusze, dusze pobożne, wstępujące w ślady świętych. Serce niewiast było podobnem do arki przymierza, zachowało ono tablice prawa Bożego nienaruszone. Niewiasty nieprzykuły były jeszcze wzroku swojego do ziemi i patrzyły wzniośle w niebo, nie znały zachceń, zwracały myśli i czucia do Boga.

W cóż się obróci społeczność, pozbawiona cnót niewieścich? W cóż się obrócą przyszłe pokolenia bez wpływu zacnych niewiast? Co ochroni je od występku, jeżeli nie owa niewymówiona woń łaski, wydobywająca się z serca zacnej matki?

Płci piękna! uzbrój się w siłę i odwagę, trudność niechaj dusze twoje natchnie energią. Pracujcie niewiasty, nie oglądajcie się na żadną ziemską pomoc, szukajcie jej naprzód w Bogu, a potem w sobie samych.

Na tym padole (t. j. na tej ziemi, mówi autor, którego dosłownie przytaczamy) szczęście jest taką rzadkością, i tak mało zdaje się odpowiadać naturze i ostatecznemu przeznaczeniu człowieka, że zawsze prawie brzemię jego przygniata swoim ciężarem tych, co je na swej spotykają drodze, i jakże to często widzimy, że

ci, co mężnie i z szlachetną rezygnacyą umieli znosić i wytrwać w złej doli: w szczęściu, zachwiali się i upadli. I kto wie, może szczęście więcej dusz zgubiło, więcej poczyniło ofiar, niżli największe przeciwności i nieszczęścia?

Temi słowy kończy autor rozdział Iszy.

Przystępujemy do drugiego.

Ten prawi o złudzeniach młodości i mówi o cenie czasu w tym okresie życia.

Autor zwraca się do dziewicy młodej i mówi, że jej wiek jest wiekiem szczęśliwych złudzeń, gorących pragnień i świetnych nadziei (co wszystko, powiadam w nawiasie, doznaje rozwiania i rozczarowania). Autor nie chce przesadzoną obawą o przyszłość nękać teraźniejszości młodej dziewicy, ale także nie chce, aby psuła swą przyszłość łudząc się mylnemi nadziejami. Autor pragnie, aby młoda dziewica używała z wdzięcznością szczęścia, którem opatrzność obdarza w życia wiośnie, pragnie autor, aby dziewica zarazem umiała korzystać z chwili spokoju i wytchnienia i zapewniła sobie przyszłość, zawczasu gorycze i zawody usunąwszy.

Autor słowem chce, aby dziewice wiedziały (czego im dosyć zaostrzyć nie można), że wiek młodości, jest czasem siejby. Nie myślcie, mówi autor do dziewic, że zawsze tak pełny potok życia płynąć wam będzie, jak dzisiaj. Nadejdzie chwila i niezadługo, w której czas, ogołacając was ze wszystkich powierzchownych wdzięków, jedynie mniej pozorne przymioty zostawi nietkniętemi. Młodość mija prędko, prędzej niż mniemacie. Późniejszy wiek ludzki dłużej trwa. Młodość nie jest przestankiem, ale chwilą przejścia i przygotowania. Czuwajcie więc nad każdym popędem duszy, nawet nad każdem nawyknieniem ciała. Nie ważcie lekce żadnej przelotnej myśli, żadnego przelotnego uczucia. Nieowładnięte wedle praw boskich mogą być niebezpiecznemi i zgubnemi. Jedno spojrzenie może być iskrą pożaru, którego później nic przygasić nie zdoła, który pochłonie najpiękniejsze nadzieje.

Czuwajcie w wieku młodości nad waszem sercem. Starajcie się, by się w niem zagnieździły prawda, dobro, i piękno.

Duch święty zwraca do was dziewice! te słowa: „Wszelką strażą strzeż serca twego, bo z niego żywot pochodzi,“ (przypowieści rozdział IV, 23.) Strumień mówi autor, jest, jakiem bylo źródło; takiem też bywa życie, z jakiego serca wypływa.

Kończy się rozdział drugi.

Rozdział III mówi o troskliwości, z jaką należy czuwać nad sercem kobiety i z jaką należy je kształcić w młodości.

Idąc w głąb myśli autora, możemy twierdzić wraz z nim, że serce jest źródłem ludzkiej intelligencyi, bowiem pewna, że najwygórowańszy rozum potrzebuje podniet serdecznych, aby mógł spełniać wielkie czyny. Autor mówi, że serce jest kluczem do wszystkich władz duszy szczególniej niewieścich, tak, że kto zdołał opanować serce, rządzi wszechwładnie całą istotą, rozciągnąwszy nad nią nieopisaną czarodziejską potęgę uroku. Bóg tak stworzył kobietę, aby miłość była węgielnym kamieniem całej jej istoty, więc, by najwznioślejsze uczucia, najheroiczniejsze poświęcenia były dla niej łatwe a poniekąd nieodzowne. Opatrzność chciała, by kobieta utrzymywała w rodzinie i w społeczeństwie miłosierdzie, więc współczucie, jedność, poświęcenie, słowem wszystkie wielkie cnoty, które wypływają z miłości.

Stwórca chciał, aby dziecię wychowało się w rodzinie na sercu kobiety i na intelligencyi mężczyzny, jakoby na dwóch ramionach jednej i tejże samej istoty. Stwórca chciał, aby społeczeństwu przyświecało światło mężczyzny, aby je ogrzewała miłość kobiety, chciał aby z dwóch połączonych źródeł wytryskało moralne życie ludzkości.

Dał Bóg mówi autor: (przytaczamy go tutaj dosłownie) niewieście, serce silne i wzniosłe, aby mogło podołać wszelkim obowiązkom i poświęceniom, czekującym je tak w rodzinie jak w społeczeństwie, lecz serce to, mówi autor dalej, jest zbyt wielkie, aby je mógł przerwać i zaspokoić jakikolwiek przedmiot ziemski.

W duszy kobiety, idziemy daléj za autorem, robi się próżnia, owłada ją niemoc, niespokojność, znużenie, opanowuje ją niewypowiedziane udręczenie, gdy zapominając o wielkiem wzniosłem swojem przeznaczeniu, zamiast poglądać w niebo, pochyla się ku ziemi, i nieograniczoną miłość, która Bogu przynależy, rozprasza na jego stworzenie.

Powinniśmy z wszelką bacznością czuwać nad naszem sercem i wszelkiemi jego popędami, aby jaki mniej godny przedmiot nie zapanował w naszem sercu, więc abyśmy się nie stali niewolnikami, my których Bóg stworzył na swoje podobieństwo i którzyśmy tylko jemu samemu ulegać powinni i tym wzniosłym ideom, które wytryskają z jego najświętszego łona.

Wielkim i uwielbiania godnym jest zapał do dobrego, gdy czyste, wzniosłe, święte uczucie zawładnie duszą niewiasty. Wtedy wrodzona jej lękliwość i słabość ustępuje niezachwianej energii, na jaką mało mężczyzn zdobyć się może.

Dalej mówi autor do dziewic: o gdybyście mogły, stanąwszy między złem i dobrem, zmierzyć głębokość jednego i drugiego i poznać jak nieobacznie się spada w te otchłań, której sam widok tak strasznie przeraża; o gdybym mógł ukazać wam obraz niewymownej rozkoszy i cudownej chluby, które tyle świętych niewiast czerpały i ich doznawały pełniąc chrześciańskie powinności i cnoty; gdybym mógł unaocznić wam przesycenie, poniżenie, sromotę i rozpacz, które były udziałem owych, co nieobacznie popadły w błędy na pozór i w początkach swoich niewielkie,—gdybym to wszystko mógł uczynić, waszą duszę zawładnęłoby jednocześnie niewypowiedziane uwielbienie i niesłychany przestrach. Poznałybyście jak wysoko doprowadza wierność właściwemu swemu powołaniu, jak nisko strąca zapoznanie obowiązków i cnoty.

Rozdział czwarty, który opiewa o godności kobiety, rozpoczyna autor temi słowy:

Święty Leon powiedział w pewnem swojem kazaniu *o narodzeniu Chrystusa:* O człowiecze, poznaj godność twoją! Też słowa (mówi autor dalej) zwracamy do kobiet, wszakże ich cnota, ich szczęście zależy po większej części od poczucia i pojęcia własnej godności.

Biada kobiecie, która nie ma poczucia własnej godności, nie ma ona tarczy, którąby ją mogła ochraniać od zboczeń własnego serca.

Bóg naznaczył niewieście wzniosły, święty obowiązek utrzymywania w społeczeństwie ducha poświęcenia. Niewiasta nie umiejąca się poświęcać, staje się ciężarem sama sobie; ona bez poświęcania się nie znajdzie wolności, nie znajdzie szczęścia.

Niewiasty powinny wiedzieć, co i ile czynią? oddając siebie, gdy ślubują miłość i wierność. Nie powinniśmy czynić daru, pokąd nie wiemy, czy ten, komu go czynimy, na dar zasłużył.

Niewiasta oddaje wszystkie swoje skarby wraz z sercem.

Niewiasta, oddając swoję rękę, niemal się wyrzeka własnej woli.

Niebaczna oddając rękę, może poświęcić swoję wieczność, swoje zbawienie, może się wyrzec samego Boga,

stawiąc w jego miejsce przedmiot, ogarniający jej serce, jej duszę.

Niewiasta powinna przynajmniej czuć swoję godność, aby się ustrzegła rozrzutności. Nigdy niewiasta nie może za nadto cenić swojej godności niewieściej, jednakże (powiadamy najotwarciej) nie powinna nigdy przeceniać swojej godności osobistej.

Śmiało można twierdzić (ciągle idziemy za autorem), że serce niewiasty jest jakoby źródłem, z którego wypływa dla społeczeństwa wszelkie dobro, z którego wypływają wszelkie plagi.

Rodzina nadaje państwu i rządowi formę, cechę, a któż jeżeli nie niewiasta tworzy rodzinę? Ona kształci naprzód dzieci, ona kształci te zarody, od których częstokroć zależy cała przyszłość człowieka. (Można by powiedzieć: jaka niewiasta, taka rodzina, jaka rodzina, taki kraj, takie państwo).

Nie znam cię dziewico, która czytasz myśli moje (mówi autor), jednakże czczę stanowisko, które zajmujesz, mam cię za istotę dostojną, świętą, uwielbiam zamiary Boga względem ciebie, i błagam go, by serce twoje miało cześć dla własnego twego stanowiska.

Jeszcześ wolna od wszelkich zobowiązań, jesteś w samym kwiecie młodości, masz nie przebrane skarby, niewinność, skromność. Jesteś królową, która stoi na progu wspaniałej świątyni przyszłości. Żaden wyrzut nie zatępia twego umysłu, nie osłabia twojej woli. Masz pobożne wspomnienia, święte nadzieje, niebiańskie myśli, masz nawet zasługi nabyte cichą cnotą i modlitwą szczerą, nie znasz występków, które serce goryczą napawają. Masz zupełną wolność, potęgę, majestat, przed któremi każdy się korzy. Tkaj więc wątek swego życia wedle (mądrego) upodobania. Tkaj wątek swego życia wedle woli Bożej, miej się ku dobremu.

Wybór który uczynisz, będzie źródłem przyszłości, szczęścia lub nieszczęścia wielu istot, może nawet źródłem szczęścia lub nieszczęścia mnogich pokoleń. Autor mówi: Dobra lub zła oblubienica Chrystusa, dobra lub zła małżonka człowieka, matka rodziny, czy matka biednych, zamknięta w klasztorze, czy żyjąca w świecie, nigdy nie ocali i nigdy nie zgubi samej siebie jedynie. Po jej zejściu długo, długo, jej cnoty i jej błędy odbijać się będą w istotach, które dzisiaj zna jedynie Bóg, przenikający przyszłość. Dziewice! za temi istotami wszystko do was przemawia. Zastanawiajcie się.... zastanawiajcie się głęboko! Autor mówi: Miejcie litość nad temi niewinnemi istotami, które ręka samego Boga stawia w waszem sercu, lub pod waszem okiem, a które żyć będą według waszych nauk i przykładów. Łaski, litości, (woła autor, tak dla nich, jako też dla tych, co po nich żyć będą i odziedziczą przekazane im przez was cnoty, lub występki!

Czegóż nie godna niewiasta, przeniknięta wielkością i świętością swego przeznaczenia, niewiasta, która śmiałem okiem spogląda w przyszłość i przyjmuje wszelkie obowiązki życia śmiało i odważnie z postanowieniem, że w nich wytrwa? Idźcie za Maryą, wzorem waszym, i jakoby noście Chrystusa w sercach waszych. Autor mówi: „Nie zapominajcie, że miłosierdzie Boże ogarnia wszystkich, od pokolenia do pokolenia, którzy się go boją, niezapominajcie, że tylko cnotliwe i chrześciańskie niewiasty tworzą rodziny nieskalane, pełne bojaźni Bożej pokolenia.“

Sądzimy, żeśmy z rozdziału czwartego podali wszystko czytelnikom naszym, co im należało podać. Przystąpimy do rozdziału piątego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OBRAZKI PARYSKIE.

III.

Promienie słoneczne wywierają ten sam wpływ na bagna i moczary co i na Paryż, bo pierwsze wysuszają, drugi wyludniają zupełnie. Paryżanie opuszczają swoje ulubione miasto, pierwszego lepszego pogodnego dnia wiosennego, i nie powracają do niego aż w jesieni. Ustają głośne i wesołe śmiechy — tylko płacz i jęk ubogich, lub interesami przykutych do bruku, rozdzierają powietrze.

Student chowa swoją glinianą fajkę, bierze pod pachę kodeks Napoleona i wędruje do ojca na wieś. Artysta szuka szczęścia za granicą, lub osiada na lato z kilkoma przyjaciołmi w jakim sielskim, w romantycznej okolicy, położonym domku. Bankier rzuca w kąt zimowy surdut, oddaje zarząd pierwszemu komisantowi i wyjeżdża na wieś, chcąc kantorowemi wyziewami zatrutą pierś, czystem odświeżyć powietrzem.

Szczycący się *dobrym tonem* lub należący do wyższego świata, mają sobie za święty obowiązek wzmocnić swoje słabe siły w morskich kąpielach, lub uronić cokolwiek z rent, przy pierwszym lepszym zielonym stoliczku, w pierwszem lepszem zdrojowisku. Lecz znajdą się i tacy, którzy zamieszkują zamki swoich przodków, grają z proboszczem pikieta i wypoczywają po burzliwym i trudzącym karnawale.

Jednem słowem: Paryż jest próżniusieńki. Bulwary straciły już swoją piękność; piękność którą dopiero wtenczas dokładnie poznać można, gdy się po nich kilka lat przechadza. Już tam ani jednej znajomej twarzy nie ujrzysz; ani jednej figury nie napotkasz, która cię swoją oryginalnością bawiła.

W lasku bulońskim widzisz tylko na godziny wypożyczane powozy, i jeźdźców na pożyczonych koniach. Teatr przedstawi ci zbiór wszystkich narodów. Aktorzy mimowolni, płacący rzetelnie przy kasie za swój bilet, są często daleko więcej zabawniejsi, od artystów honorowanych przez dyrektora. Jasnowłosi synowie Albionu, przedstawiają zazwyczaj w takiej komedyi główne role.

Ów tłusty jegomość, w dobrze wykrochmalonych, do ciała przystających i uszy podrzynających kołnierzykach, wyglądających jak obróż; kołnierzykach, któreby raczej ku obronie niż ozdobie służyć mogły — owóż ten tłusty jegomość, którego szczęśliwa powolność ochrania go od śmiechu w scenach komicznych, a skargi i nieszczęścia niesłusznie prześladowanej niewinności, westchnienia z jego piersi zimnej wydobyć nie zdołają; który złożywszy usta do wdzięcznego uśmiechu, aryę primadonny pod nosem nuci — naturalnie fałszywie — tu znów owa czworograniasta dama w ekscentrycznej toalecie, z flaszeczką dziesięcio-calową, napełnioną kolońską wódką, której zapachy rozchodzą się na wszystkie strony — dama zjadająca w każdym międzyakciu, dwie porcye lodów i wypijająca trzy karafki wody, — promienieją w pierwszym rzędzie.

Podsłuchałem niedawno przed gmachem „*opéra comique*“ następującą rozmowę:

— Gdzie się tak spieszysz?

— Wyjeżdżam. Towarzysz mi. Do Anglii i napowrót do Paryża za 3 franki i 50 centimów.

To mówiąc, wszedł do teatru.

Tak to wygląda w lecie stolica Francyi. Wszystkie narodowości mają tutaj swoich przedstawicieli, a ktoby chciał robić fizyologiczne studya, niech tylko wyjdzie na bulwary — wszystko tam znajdzie prócz Paryżanów.

Z końcem października zaczyna się Paryż na nowo zaludniać, lecz świat arystokratyczny dopiero później zajmuje swoje pałace.

I tak nie jeden dziwi się dla czego hrabina ***, jeszcze przy końcu grudnia lub na początku stycznia bawi w swoim zamku w Normandyi, a nie przyjeżdża do Paryża. Że jej mąż jest wielkim lubownikiem łowów, to jeszcze nie tłomaczy dla czego piękna dama przenosi wielkie, lecz smutne sale starego zamku i gawędy myśliwskie, nad pyszne salony paryskiego pałacyku, bale, intryżki, zwycięstwa nad rywalkami i odbieranie hołdów od licznych wielbicieli.

Otóż ja wam powiem moi drodzy państwo — dlaczego? Oto że biedna hrabina ma tylko 50 tysięcy franków rocznego dochodu.

Pojedynczy ekwipaż, najskromniejsze przyjęcie gości, loża w operze włoskiej, toaleta, malutkie straty pana męża przy zielonym stoliczku, jego białe rękawiczki i krawatki — wszystko to kosztuje — oj wiele kosztuje. Biedna gospodyni domu, musi być bardzo ekonomiczną, ażeby sobie mogła pozwolić najmniejszy wydatek, nie oznaczony w budżecie, aby mogła sobie kupić jaką malutką drobnostkę, jak na przykład: naszyjnik z prawdziwych pereł, suknią koronkową lub coś podobnego.

. . . .

Ah, a tu chleb podrożał o dwa centymy. O prawdziwie, ich życie jest długiem cierpieniem . . . .

Oszczędzać powinnaś — oszczędzać pani hrabino! Twoja szczęśliwa rywalka, młoda markiza, o której pojąć nie mogłaś, jakim sposobem zdołała pozawracać głowy wszystkim młodzikom — ta młoda markiza, poszła za mąż, ma brylantową kolię, wartającą 60 tysięcy franków — a twoja kosztuje 40 tysięcy — i jeszcze nie jest zupełnie zapłacona.

Jeżeli więc nasze młode małżeństwo wydaje 35 tysięcy franków co kwartał, to powinnoby ekspensować rocznie 140,000— ale algebra zawodzi w tym przypadku.

Pan hrabia zapewnia swoją dostojną połowicę, że w Paryżu jest na wiosnę nieznośne błoto, a w lecie gorąco niesłychane; w jesieni zaś błota przeplatane upałami, zdrowiu nadzwyczaj szkodliwe. Zakończa swoje perswazye, poetyczną obroną niesłusznie potępionego życia wiejskiego: na wiosnę, zieloność, śpiew ptaszków; w lecie, natura w całym majestacie, dobroczynne słońce, żniwa; w jesieni, opadające liście z drzew, polowanie i winobranie. Co powiedziawszy innemi słowy: Moja kochanko, musimy jeszcze dziewięć miesięcy, już tylko pietnastoma tysiącami franków opędzić. W Paryżu na żaden sposób nie obstaniemy — na wsi jakoś to pójdzie.

—3.—

Początek rodu niewieściego u Indyan.

Starożytne narody w religijnych swoich pojęciach nie miały *prawdy* i *miłości*, często jednakże dziwną *pięknością* wyobrażnia ich malowała sobie niewidzialne bóstwa, których istnienia miały niemal zawsze pewność. Religia np. Indyan jest najpiękniejszą fantazyą, ustrojoną w piękne szaty wschodu — pełną najidealniejszych kreacyj. Z jakąż to oni elegancką grzecznością stworzyli sobie historyą rodu ludzkiego, z jaką czcią dla niewiast, a upokorzeniem dla mężczyzn! Możemy tu, jak sądzę, przytoczyć ten jeden wyimek z indyjskiej genezy; jest on pięknym, a czytelniczkom naszym miłe sprawi wrażenie. Najwyższe bóstwo — Brama — urodziło się w złotem prześlicznem jajku. Dzielny jednakże Bóg nie mógł długo pozostać w łupinie niewoli — tłucze ją na najdrobniejsze kawałki, sam się uwalnia, a z okruszyn stwarza sobie duchy nieśmiertelne — *depty* — i dla swego i ich mieszkania stwarza niebo, nazwane rajem. Duchy te miały wraz z nim używać największego szczęścia, pędząc życie w wiecznej młodości. Brama z ptaków najbardziej upodobał sobie łabędzia. Na nim wybrał się pewnego poranku na przejażdżkę — podczas której przyszło mu do głowy stworzyć coś nowego i nie wiele myśląc, stwarza ziemię. Tym czasem zaś część duchów, w raju bawiących się rozkosznie — owładnęła pycha: kusząca ich do wypowiedzenia posłuszeństwa najwyższemu bóstwu. — Podszept złego jest zawsze silnym. Wnet też część deptów poprzysięgła niesłuchać B r a m y i przywłaszczyła sobie całą jego najwyższą władzę. Powraca nareszcie pan nieba i ziemi, zapala się gniewem przeciw grzesznym — odpycha ich od siebie i karze. Głównych sprawców powstania wypędza w ciała zwierząt, i rozpuszcza po ziemi. Uwiedzeni zaś, ponieważ mniej zawinili, stali się za karę *mężczyznami* — mając pędzić na ziemi krótkie, lecz pełne zgryzót życie.

Dusze zwierząt do śmierci przechodziły kolejno stopień po stopniu, wstępując w coraz doskonalsze istoty: aż nareszcie stawały się ludźmi. Wtedy mogły napowrót dojść do wiecznego szczęścia *deptów*, jeżeli ich życie podobało się najwyższemu bóstwu, w przeciwnym zaś razie dusza ich powracała do zwierząt.

Wielu jednak z wiernych swemu bóstwu *deptów*, opłakiwało nieszczęsną dolę swych braci, litując się nad ich gorzkim losem: błagają więc *Bramę* aby i ich zesłał na ziemię, i pozwolił ulżyć ciężaru wygnańcom, i towarzyszyć im w ciernistej pielgrzymce życia.

I zezwolił na to najłaskawszy, przyjął ich dobrowolną ofiarę, nadał im postać *niewiast*, i zesłał na ziemię, aby mężczyznom niedolę osładzały.

UBRANIE RĘKI.

Ubranie ręki gra w historyi mody dość ważną rolę. Bo jakiż to miły widok sprawia, bielutka malutka rączka ubrana, byle nie nazbyt, gustownie dobranemi pierścioneczkami, wystająca z pojedynczej bransoletki. Już w księgach starego testamentu, napotykamy wzmianki o naszyjnikach, naramiennikach a nawet podobnych tymże nóg ozdobach. Naramienników używali do ozdoby, nawet rzymscy królowie, poeci i bohatyrzy. Z początku używano pierścieni, li-tylko dla nadania palcom delikatności i zgrabności, lecz już Hebrajczycy, używali ich więcej ku ozdobie. Później nastały sygnety, a nosili je tylko, wysokie urzędy piastujący. I tak jeszcze teraz, Ojciec św. nosi sygnet rybacki, na pamiątkę rzemiosła św. Piotra. A ślubne obrączki które jak się zdaje z Indyj pochodzą, nie mająż wielkiego a może i najważniejszego znaczenia?

I rękawiczki są ozdobą ręki. Właściwem ich przeznaczeniem, było chronienie ręki od zimna, bo są wynalazkiem północy. — W najdawniejszych północnych sagach odgrywa rękawiczka niepospolitą rolę. Z starych islandzkich pieśni można się dowiedzieć; że gdy *Tor*, *Loki* i *Tialfi* podróżowali, napadnięci skryli się w rękawicę olbrzyma *Skrymira*. Nawet *Tor* gdy rzucił piorun, mógł go nazad pochwycić w swoją żelazną rękawicę. Bogowie Rzymian i Greków nie nosili rękawiczek, z czego wynika, że te z północy dopiero później przywędrowały na południe. Tak samo ma się rzecz i z mufkami czyli zarękawkami; o których już mowa w rozporządzeniu z roku 814. Każdemu dobrze wiadomo że w średnich wiekach, używano już powszechnie rękawiczek. Rękawice stanowiły niezbędną część rynsztunku rycerza, a rzucenie jej pod nogi drugiemu, oznaczało wyzwanie. Zresztą noszono w średnich wiekach rękawice tylko na ulicy, wchodząc do pokoju, zdejmowano je wraz z nakryciem głowy. Teraz zupełnie inaczej się dzieje: rękawiczki prezentują się w salonach; mężczyznom robią subjekcyą, a śliczne dam rączki zasłaniają oczom ciekawych. Rzymianie nie mogli używać rękawiczek, a to wskutek gorącego klimatu; nawet dla ochłodzenia ręki trzymali w niej w towarzystwach kryształowe kule, później używano bursztynowych, ubożsi zaś sklannych. Dawne kule zastąpiły wachlarze, z tą tylko różnicą, że teraz te ostatnie mają między innemi, zadanie zwracania uwagi na rączkę damy.— Ale cóż z tego, przeklęta rękawiczka zawadza.

Czytelnia dla młodzieży.

Mówiąc o książkach wychodzących u nas, a płeć piękną obchodzących i dotyczących, sądzimy za rzecz stósowną wspomnieć także o piśmie czasowem, wydawanem co 10 dni we Lwowie przez Karola Cieszewskiego, p. n. „Czytelnia dla młodzieży.“ Nie jest to wprawdzie pismo dla niewiast jedynie redagowane, gdy jednakże i panienki do młodzieży należą, przeto też o tyle tyczyć się niewiast powinno.

Już to p. Paulina Wilkońska w liście swoim (Nr. 1 Niewiasty) dobrze bardzo napominała matki, aby ostrożnemi były w dawaniu książek do czytania swym córkom. Rzecz to niebezpieczna i zgubna. Sumiennie zaś powiedzieć tu można, że „*Czytelnia dla młodzieży*“ tę obawę w trudnym obiorze stósownej dla panienek książki, poniekąd usuwa, gdyż wiele rzeczy, które się w niej zawiera, bardzo korzystnie i na rozum i na serce dziewicze wpłynąć mogą.— Polecamy przeto naszym szanownym Czytelniczkom to pismo, z tem przekonaniem, iż wpływu na swoje córki z odczytywania *Czytelni* żałować nie będą.

Dotąd wyszło już 23 numerów. Są w nich i ładne poezyjki i przyjemnie czytać się dające powiastki—a te miłą mogą nastręczyć rozrywkę panienkom, nieraz tak gorąco czytania pragnącym.

Niewiasta wychodzi w Krakowie co Poniedziałek w objętości jednego do półtora arkusza druku.

Prenumerata w miejscu wynosi:

Rocznie	6 Złr.	— centów w. a.
Półrocznie	3 „	— „
Kwartalnie	1 „	50 „
Miesięcznie	— „	50 „

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	7 Złr.	20 centów w. a.
Półrocznie	3 „	60 „
Kwartelnie	1 „	80 „
Miesięcznie	— „	60 „

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku złr. 4 c. 20 w. a. wynoszącą) w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się. „Niewiasta“ wychodzi cotydzień.

Pieniądze prenumeracyjne należy przesyłać **franko „do Redakcyi Niewiasty w Krakowie“.**

Miejscowi Prenumeranci mogą zamawiać tygodnik w księgarni F. Baumgardtena w głównym Rynku.

Inseraty odpowiednie naszemu dziennikowi przyjmują się za opłatą od wiersza petytowego 7 centów oprócz 30 c. na opłatę stęplową za każdorazowe umieszczenie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, **Antoni Rother.**